

Wspomnienia sanitariuszki 27 Wołyńskiej
Dywizji Armii Krajowej.

W połowie stycznia 1944 roku na terenie Wołynia
zarządzono koncentrację Oddziałów partyzanckich.

V Mnie ten rozkaz nie obowiązywał, ale postanowiłam
też stawić się w miejscu koncentracji. Długo musiałam
przekonywać rodziców, żeby złamać ich opór, ale w
końcu uzyskałam ich zgodę.

V Zameldowałam się w ^{wzięto Kowla} (Zasmykach) u por. "Znicza" jako
ochotniczka. Trochę ~~się~~ obawiałam się, że każą mi wracać
do domu, ale na szczęście właśnie w takim prowizorycz-
nym szpitalu brak było sanitariuszek i od razu mnie tam
przydzielono.

Szpital urządzony był w szkole. Nie mieliśmy nawet
stałego lekarza. Doktor "Osiemnastka" /W. Zagórski/ w
ważnych przypadkach dojeżdżał do nas z Kupiczowskiego
szpitala. I tylko pod kierunkiem sanitariusza /Edwarda
Kijkowskiego/ musieliśmy sobie radzić sami.

Tu muszę się szczerze przyznać, że nie miałam
specjalnego przeszkolenia sanitarnego, po prostu podsta-
wowe tylko wiadomości udzielania pierwszej pomocy zdobyte
w harcerstwie, na obozach harcerskich i na szkolnych
kursach PCK.

Nie ujawniałam swojej niewiedzy, tylko pilnie
podglądałam co i jak się robi i po kilku dniach dawałam
sobie radę tak, że chorzy i lekarz byli ze mnie zadowo-
leni.

Najtrudniej mi było przełamać samą siebie, bo od dzieciństwa widok rany przyprawiał mnie o drżenie pod kolonami. I zdarzyło się nawet, że asystując dr. "Osien- nastce" przy zabiegu wyjmowania maleńkich odłamków kości z rozbitej czaszki, na widok drgającego mózgu zemdlałam.

Ale z czasem i ta wrażliwość przeszła. Trudno również było przełamać niechęć do wykonywania tych najbardziej przykrych czynności przy chorych, a przecież wykonywałyśmy pracę pielęgniarek sanitariuszek, sprzątaczek a nawet kucha- rek - wszystko jeśli było trzeba.

I może to zabrzmieć jako oklepany frazes, ale ta myśl, że właśnie w ten sposób mogę pomóc ukochanej Ojczyźnie dodawały siły, uczyła pokory i łagodności butną, zadziorną dziewczynę, jaką byłam.

Taki to był mój początek kariery sanitariuszki w partyzantce.

Kiedy tak pobiegnę myślą wstecz, to okres przez jaki byłam w Zasmykach w porównaniu do późniejszych dni można zaliczyć do spokojnych, chociaż też przeżyliśmy momenty grozy. Chociażby wtedy 21 stycznia, gdy Niemcy zniemacka podeszli do wsi i podpalili ją równocześnie w kilku miejscach.

Z płonącej wsi trzeba było ewakuować chorych, a transportu nie było żadnego. W wielkim pośpiechu wyno- siliśmy ich na dwór podczas styczniowego mrozu i lokowali na przygodnych furmankach, które z dobytkiem i rodzinami uciekały ze wsi.

Pomimo okres, który dla mnie był jednak okresem w pewnym sensie pomimo różnych braków życiem ustabilizowa- nym, ponieważ mieliśmy dach nad głową, a przejdę do dni bogatszych w wydarzenia.

Kiedy zapadła decyzja, że Oddziały partyzanckie z powodu przybliżania się frontu przesuną się na zachód - szpital również podążał za oddziałami.

Ciężko ranni zostali w Kupiczowie, lżej z nadzieją na wyzdrowienie ulokowano na zwykłych wiejskich wozach wyłożonych słomą i tak podążaliśmy za oddziałami przeważnie nocą. A był to początek wiosny, deszcz, śnieg, zawie-rucha i błoto po kolana. Ciężki był przemarsz wołyńskimi drogami.

W okresie tym oddziały nasze staczały coraz częstsze walki z Niemcami.

Rannych przybywało. Tabor się powiększał. Na postojach były coraz gorsze warunki z zakwaterowaniem i wyżywieniem. Ranni leżeli wprost na podłodze, na słomie przykrytej derką. Coraz trudniej było z lekami. Bandaże trzeba było prać kilkakrotnie.

W takich coraz gorszych warunkach przybyliśmy do wsi Mosur.

I właśnie od tej chwili zaczęły się dla szpitala dni tragiczne. Każdy dzień to oddzielny rozdział w życiu szpitala. To co dzień nowi ranni, to smutne wieści o śmierci kolegów.

W Mosurze mieliśmy stać kilka dni i tam spędzić Święta Wielkanocne.

Każda z nas starała się swoim chorym stworzyć warunki przynajmniej w tym dniu domowo-rodzinne.

Tak złożyło się ^{że} właśnie w tym okresie miałam pod opieką ciężko rannych, a między nimi swego dowódcę z konspiracji por. "Kruka", który po amputacji ręki był w bardzo ciężkim stanie.

Przy nim była również jego żona p. Irena Imiałek, która na wieść o nieszczęściu męża przybyła z Kowla, by się nim opiekować.

Upiekłyśmy ciasto, nawet postarałyśmy się o symboliczne malowane pisanki.

I właśnie w ten nastrój świąteczny wdarły się do nas odgłosy walki i to bardzo blisko. Dostałam rozkaz ubrać szybko rannych, którzy będą się mogli sami poruszać i iść z nimi do lasu.

Na zabranie ciężko rannych nie było możliwości, nie było wozów i czasu na zorganizowanie ich. Niemcy byli już 3 km. od nas.

Powiało jakoś grozą, bo jak tu zostawić bezbronnych, ciężko rannych ludzi i nie wolno im o tym powiedzieć.

Porucznikiem "Krukiem" zaopiekowała się żona. Ciężko chorego z 40^o gorączką wyprowadziła do lasu i od tamtej pory z nimi się nie zetknęłam.

Na szczęście wojska nasze odparły atak Niemców i wróciliśmy wszyscy z powrotem.

Ale niestety, wieś musieliśmy opuścić, bo wszystkim stało się wiadomo, że jesteśmy okrążeni i musimy uciekać dalej do lasu.

Chciałabym tu opowiadać o zdarzeniach, które mi najbardziej utkwiły w pamięci.

Tabor szpitalny przemykał się cicho leśnymi drogami aż tu nagle słychać narastający szum czołgów.

A wszystko to wydawało się tak blisko. I naraz strzały, potworny huk pocisków. W jednej chwili powstał okropny zamęt, konie się popłoszyły, lżej ranni zeskakują z wozów i uciekają.

Ja miałam pod opieką kilka wozów z rannymi. Każdy z tych wozów ucieka w inną stronę. I naraz widzę przedemną wywraca się wóz do góry kołami, a ja nie wiem czy tam pod wozem nie ma rannych. Krótka walka wewnętrzna. Co robić? W jednej chwili decyduję się. Zeskakuję z wozu i podbiegam do wywróconego. Rannych tam nie było. Ale w tym czasie moje wozy odjechały daleko.

Wskakuję na pierwszy wóz, który jest bez sanitariuszek i okazuje się, że byłam tam bardzo potrzebna.

Jest na nim dwóch ciężko rannych. ~~Ida~~ Jeden nieprzytomny z przebitym płucem i drugi znajomy kolega z Kowla Kielbasiński z przestrzeloną szczęką, która wisi i mocno krwawi. Każdy wstrząs sprawia mu okropny ból. Ranny z przestrzelonym płucem był nieprzytomny i kurczowo trzymał się i szarpał tego drugiego. Musiałam ich rozdzielić. Jednemu podwiązałam brodę, drugiego próbowałam uspokoić. Ale ten kilkunastoletni chłopak, wciąż się tulił jak do matki, płakał i skarżył się, że boli.

Musiałam więc udawać matkę i pocieszać. Chory wyraźnie się uspokoił i przytulony ze słowami "jakaś ty mamó dobra" ucichł. Dopiero po kilku chwilach spostrzegłam, że skonał.

A wszystko to działo się przy akopaniamencie wystrzałów i potwornego huku pocisków na wozie ciągniętym przez rozszalałe konie.

Była to pierwsza śmierć, z którą zetknęłam się tak blisko. I choć nie znałam imienia, nazwiska ani pseudonimu tego chłopca, był mi jakoś dziwnie bliski.

Pod osłoną nocy w głębokiej ciszy pochowaliśmy go w lesie z innymi z myślą, że tu wrócimy i go znajdziemy.

Po wielu dniach tułaczki zapadła konieczna w tej sytuacji decyzja.

Partyzanci przedzierają się przez front, a szpital ukryty głęboko w lesie otoczonym bagnami musi jakoś przetrwać i doczekać się przyjscia Armii Czerwonej.

Zwykły wiejski wóz był dla rannych łóżkiem szpitalnym w dzień i w nocy, a dachem niebo nad głową. Całe szczęście, że była już wiosna, ale w dni deszczowe było ciężko.

A było nas już bardzo dużo, bo rannych wciąż przybywało. Zaczęliśmy obawiać się głodu. Nie mieliśmy chleba, zupki były coraz cieńsze i coraz trudniej było ze środkami opatrunkowymi. A do tego zmorą naszą stały się wszy. Nie było na nich rady.

Odchodzące oddziały zostawiły nam wszystko, co mogło się nam przydać, a przede wszystkim żywność. Spowodowało to częściową poprawę sytuacji. Wstąpiła w nas otucha, że chyba przetrwamy i doczekamy się wyzwolenia w tym lesie. Ale niestety.

Pewnego słonecznego ranka wraz z rannymi pełna optymizmu szykuję śniadanie z dodatkowych przydziałów, aż tu nagle strzelanina z przeciwległej strony polany, narastający szum, krzyki i naraz wszyscy uciekają wołając: "uciekajcie - Niemcy".

Niesamowity popłoch, ranni wyskakują z wozów bez butów, nieubrani. Strzelanina wzrasta, konie przywiązane do drzew bezsilnie się szarpią. Przez las przebiega krzyk strachu. Wszystko, co może się ruszać ucieka w popłochu. Kolega mój Kazik Bombel ranny w obie nogi zapomniał o bólu, kułęjąc i potykając się uciekał jak nieprzytomny.

Zdażyłam tylko złapać torbę sanitarną i uciekłam z rannymi do lasu.

Jak się potem okazało na szpital natknął się przypadkowo patrol węgierski.

Wielu rannych uciekało, ale część szpitala dostała się do niewoli.

Ja z niewielką grupą znalazłam się w lesie bez żadnych środków do życia. W torbie sanitarnej miałam trochę lekarstw, bandaży, waty i to narazie wystarczało. Ale z żywności nie mieliśmy nic. Zaczęliśmy szukać dawnych miejsc postoju ~~rannych~~ ^{nanych} oddziałów. Znaleźliśmy trochę kartofli i kaszy. Raz dziennie gotowałam wiadro gęstego krupniku. Podobno był tak dobry, jakiego nigdy nie jedli.

Nikt z naszej grupy nie orientował się gdzie jesteśmy, co dzieje się z resztą szpitala i jak się dostać do siedzib ludzkich.

Kilkakrotnie między drzewami mignął nam zielony płaszcz niemiecki, ale nie wiedzieliśmy czy to nasi, czy Niemcy.

Po kilku dniach spotkaliśmy grupę partyzantów radzieckich, którzy także znaleźli się w okrażeniu. Nakarmili nas, ale nic doradzić nie mogli, bp też szukali swoich.

Po wielu dniach głodu i błądzenia po lesie spotkaliśmy gajowego, który zgodził się taką małą grupę wyprowadzić z lasu.

Ustawiliśmy się gęsiego i w największej ciszy szliśmy za nim. Kiedy po pewnym czasie obejrzałam się do tyłu - zdębiałam. Za nami szedł długi szereg uzbrojonych partyzantów, którzy wychodzili z ukrycia dołączając do nas.

Gajowy wyprowadził nas na skraj lasu. Przed nami w dość dużej odległości była droga, a za nią wieś. Mieliśmy iść brzegiem polany, a skrajem lasu.

Słońce już kryło się za drzewami i naraz na drodze zauważyliśmy niemiecką konnicę. Zdawało nam się, że nas zauważyli. Wszyscy zaczęli uciekać w stronę lasu.

Mnie jest coraz ciężiej, bo w torbie sanitarnej mam kartofle i kaszę i to mi utrudnia bieg. Chcąc sobie skrócić drogę, żeby dogonić chłopców biegnę przez polanę, ale było to zdradliwe bagno. Im dalej do środka polany, tym głębiej się zapadam. Chłopców już nie widać. Słońce skryło się za drzewami i momentalnie zrobiło się ciemno. Wreszcie wyszłam na twardy grunt mokra do pasa. Zostałam sama nie wiedząc gdzie jestem, nigdzie żadnego światła nie widać i ta świadomość, że w pobliżu są Niemcy. Ogrania mnie straszna rozpacz. Nie mogę się dostać w ich ręce, zaczynam się gorąco modlić. W kieszeni mam rewolwer tzw. "siódemkę" daną mi na przechowanie przez "Cygana", który poszedł na zwiad i nie wrócił. Nie bardzo wiem jak się z nią obchodzić, ale świadomość, że mogę z niej w ostateczności zrobić użytek dodaje mi odwagi.

Powoli się uspakajam mówiąc sobie "raz kozie śmierć".

Nagle zauważyłam zbliżającą się jakąś jasną plamę, przylgnęłam ze strachu do ziemi.

Był to na moje szczęście mieszkaniec okolicznej wioski, który odwoził rannych do szpitala i prawie cudem mnie zauważył. Całą noc mokra zziębnięta błądziłam szukając wyjścia, by nie trafić na niemieckie posterunki. Gdy wreszcie dotarliśmy do jego rodziny we wsi Turówka, byłam ledwie żywa i miałam wysoką temperaturę.

Rodzina Bronisława Raka, bo tak się nazywał mój
wybawca ^{obcyta} (mnie) serdeczną opieką w czasie choroby.

Wiele jeszcze przeżyłam chwil ciężkich szukając swojej
Dywizji, ale to już dalsze rozdziały mojego partyzanckiego
losu.

K.Lewenda

z domu Błaszczak ps. "Kicia".